Nr. 29 Rok 5 ...ków, dnia 16 lipca 1944. 40 gr.

# Ilus ... ny ... ŚKI



**„KRÓLOWA PRZEDMIEŚCIA"**

W DOSKONAŁEJ INTERPRETACJI HALSZKI MATYCZANKI
NA SCENIE KRAKOWSKIEGO TEATRU

Fot. Borek

# Dziwni Prorocy w USA



Brutalność z jaką amerykańskie bombowce atakują siedziby kultury europejskiej jest symbolem duchowej płytkości i staje się częściowo zrozumiałą, gdy przyjrzymy się bliżej charakterystycznym cechom amerykańskiej mentalności. Jedną z tych cech jest mięszanina fałszywie zrozumiałej religijności, interesowności, i stąd powstającego zakłamania. Obok prawdziwej idei chrześcijańskiej, spotykamy tam bardzo wiele niedowiarstwa, będącego punktem wyjścia dla powstania 200 większych religij i 90 sekt. Poza tym spotyka się w USA wielu wędrujących „apostołów". Większość tych zgromadzeń religijnych można uważać za przedsiębiorstwa handlowe, gdyż religia stanowi u nich jedynie środek do celu. Użyczają one pożyczek, zajmują się pośredniczeniem w sprawach posad oraz w nawiązaniu kontaktów handlowych między kupcami, i w ogóle sprawują czynności, które normalnie należą do banków i towarzystw asekuracyjnych. Poza tym gminy religijne urządzają wieczory muzyczne, przedstawienia teatralne i kabaretowe oraz „herbatki tańcujące". Właściwa religia ukazuje się w postaci śmiesznych przesądów, które otoczone są tajemniczymi ceremoniami, zdążającymi do „cudownych" uleczeń, wypędzanie diabła itd. Charakterystycznym przykładem, jak pojmują Amerykanie sprawy religijne jest niejaki Billy Sunday, który jeździ po kraju z namiotem cyrkowym i obiecuje ludziom, że uwolni ich od grzechu, prowadząc z niewidocznym diabłem regularne walki bokserskie. Do tych szarlatanów religijnych należy też „boski ojciec" Father Divine starszy murzyn, który doprowadza swoich wyznawców do szału drogą sugestii, a w końcu Aimee Simple Macpherson, która określa się sama jako „najlepsza prorokini boska". Prymitywność duchowa i umysłowa ujawniająca się w takich objawach, jest dla Europejczyka po prostu niezrozumiała.



Na lewo:
Pani Aimee Semple Macpherson, która przed wielu laty założyła sektę, liczącą dziś kilka milionów zwolenników.

Powyżej:
Aimee Macpherson przemawia. Prze odpowiednie oświetlenie reflektora mi i przybieranie iście teatralnyc póz stara się działać na tłumy.



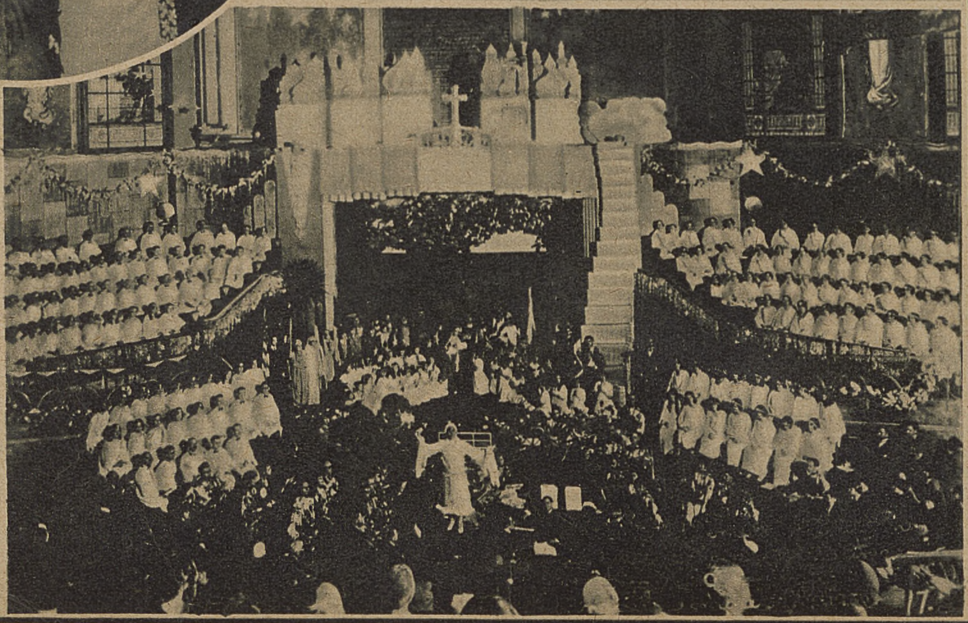

Fot: Bahrens

Powyżej:
Ta dziwaczna budowla jest „świątynią" sekty pani Aimee Macpherson. Wznosi się ona w Los Angelos.

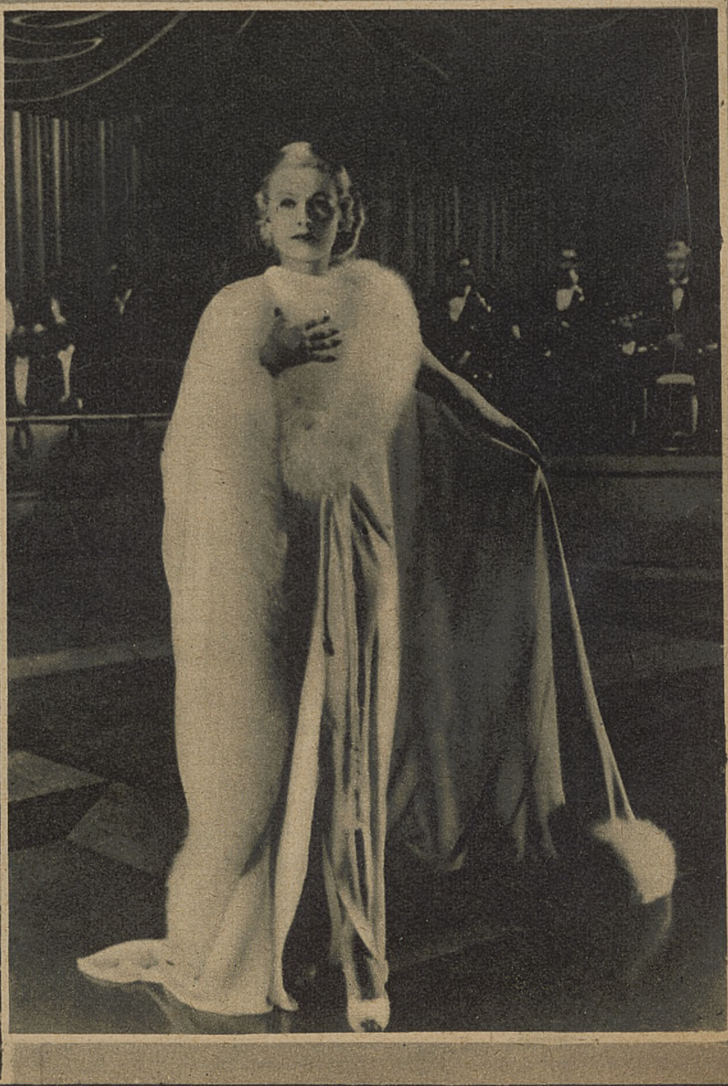
Poniżej:
Po nabożeństwach w świąty „pokrzepia" się Aimee Ma pherson w jednym z liczny przez nią finansowanych ba rów tanecznych.

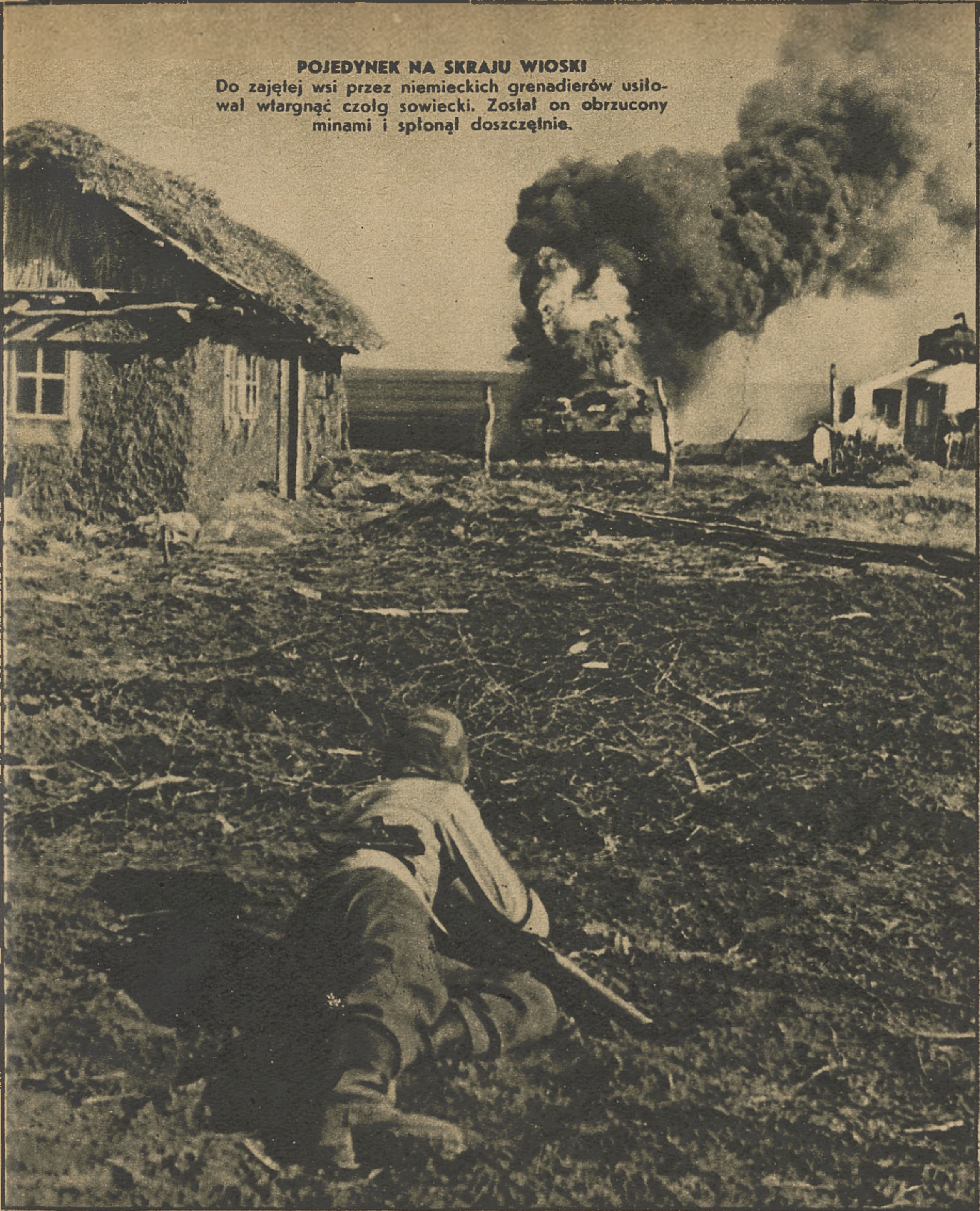


Powyżej:
Tak odbywają się zebrania urządzane przez kaznodzieję murzyńskiego Father Divine.



Na prawo:
Ogromna ambona w świątyni pani Aimee Macpherson. Po środku niej stoi ona sama i przemawia do swych zwolenników.





**POJEDYNEK NA SKRAJU WIOSKI**
Do zajętej wsi przez niemieckich grenadierów usiłował wtargnąć czołg sowiecki. Został on obrzucony minami i spłonął doszczętnie.



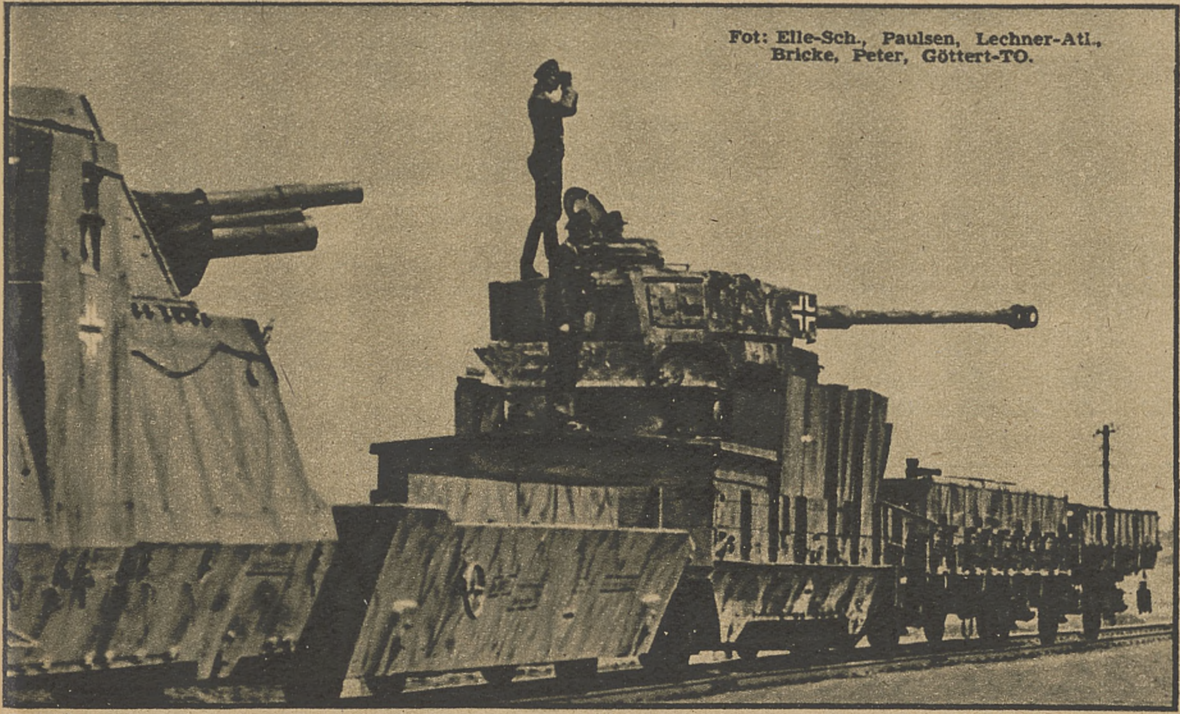
Powyżej:
Taki obraz przedstawiają dziś urządzenia portowe miasta Cherbourg. Są one tak zniszczone, że lądowanie w tym miejscu wojsk brytyjsko-amerykańskich jest uniemożliwione.

Poniżej:
Na jednym z niemieckich lotnisk przyfrontowych przygotowuje się bomby, które zostaną zabrane przez samoloty udające się do lotu na nieprzyjacielskie pozycje.



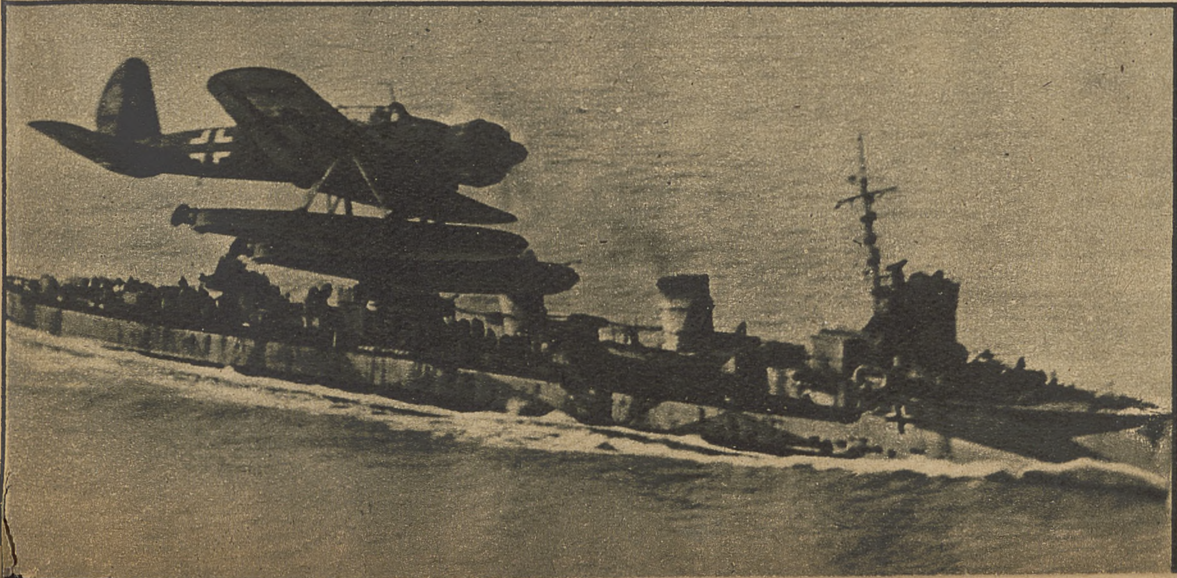
# TYGODNIK WOJENNY

Fot: Elle-Sch., Paulsen, Lechner-Atl., Bricke, Peter, Göttert-TO.



Powyżej:
Jeden z niemieckich pociągów pancernych na froncie wschodnim.

Poniżej:
Samoloty niemieckie towarzyszą okrętom wojennym w czasie ich rejsu na oceanie.





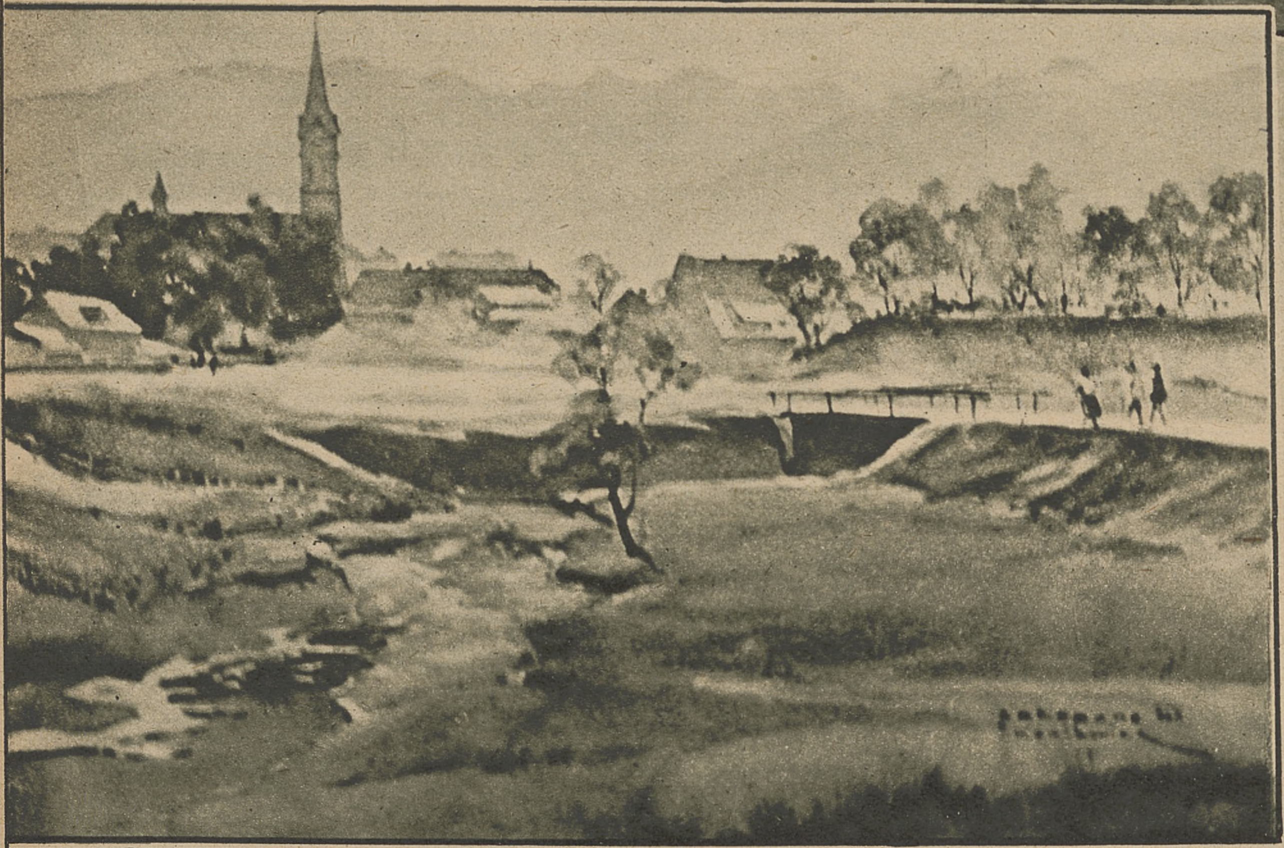
Włoskie działo przeciwlotnicze ostrzeliwuje nieprzyjacielskie samoloty na froncie południowym.

**PRZED SŁOTĄ W TATRACH**
Pełny nastroju obraz olejny Stanisława Gąjka.





**PORTRET P. R.**
Obraz olejny Tadeusza Kurka. Portrety stanowią obok krajobrazów interesujący dział wystawy.

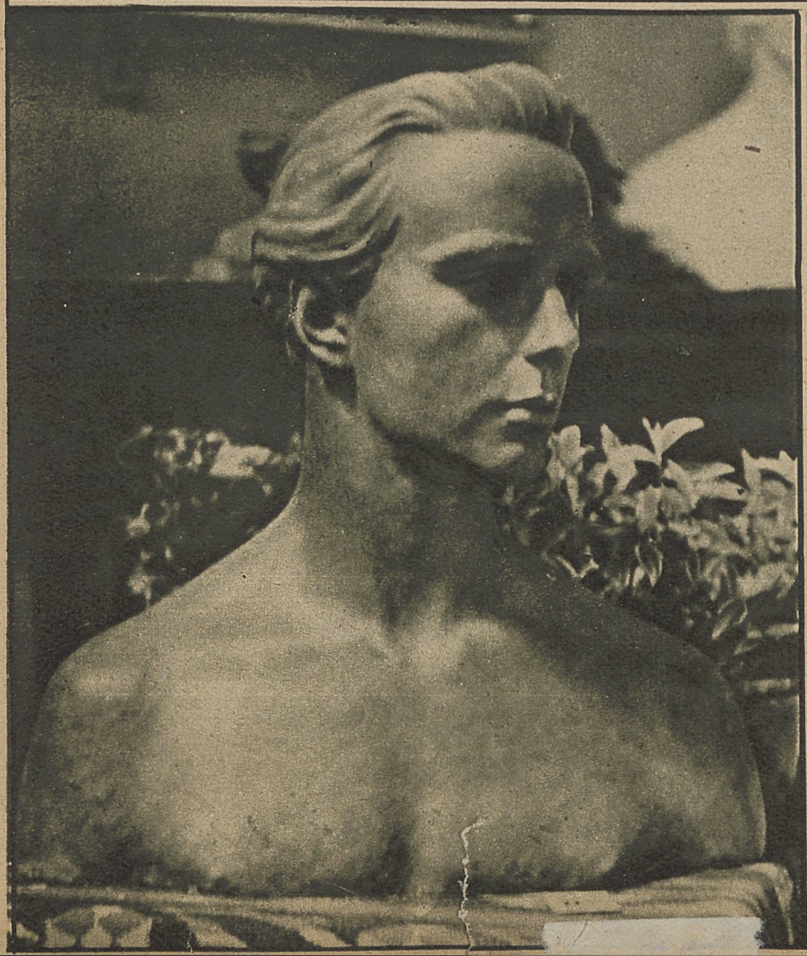




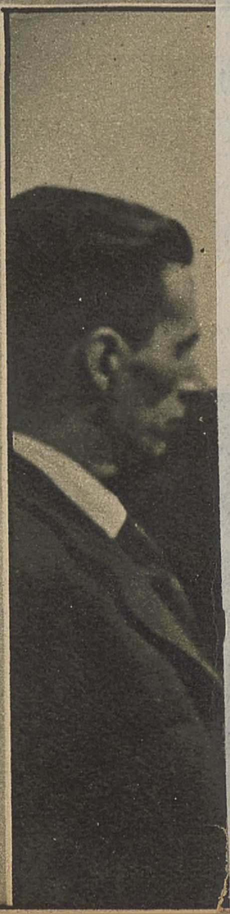
Na lewo:
**PORANEK JESIENNY**
Jedna z mistrzowskich akwareli Tadeusza Koniewicza, które wykazują cały urok tej trudnej techniki.

Poniżej na lewo:
**PORTRET p. K. U.**
Popiersie gipsowe wykonane przez Eugeniusza Żarkowskiego.

Poniżej na lewo:
**ZAMEK W CZORSZTYNIE**
Interesująca kompozycja Wiktora Berga







# Wystawa obrazów polskich malarzy w Zakopanem

W tych dniach otwarto w salach magistratu miasta Zakopanego interesującą wystawę polskich malarzy. Jest ona pierwszą tego rodzaju imprezą od roku 1939 i obejmuje dzieła 11 malarzy polskich i jednego rzeźbiarza. Podajemy nazwiska artystów-malarzy oraz krótką charakterystykę ich prac: Stanisław Kamocki wystawił krajobrazy obok wyrazistego autoportretu. Stanisław Gałek wystąpił przeważnie z górskimi motywami z Tatr. Świetnymi akwarelistami są: Tadeusz Koniewicz i Ziemowit Szuman. Nad obrazami Karola Kłosowskiego unosi się niekiedy mistyczny nastrój bajek. Obrazy olejne Mieczysława Szopińskiego odznaczają się świeżymi, żywymi barwami, a spokojna harmonia charakteryzuje dzieła Romana Merzowicza-Mirzy. Portrety Wiktora Berga wyróżniają się techniką o dużym rozmachu. Franciszek Wójcik oddał niezwykle nastrojowo pory roku na tle podtatrzańskiego krajobrazu. Dużą starannością wykonania odznaczają się krajobrazy Zenona Pokrywczyńskiego, żywym zaś kolorytem zachwycają nas portrety i martwa natura Tadeusza Kurka, oraz krajobrazy górskie o maleńkich formatach Stanisława Barabasza. Dwie artystki-malarki uświetniły swymi pracami wystawę: Znakomita portrecistka Zofia Lipińska i Danuta Skawińska, która wystawiła przepiękne ilustracje bajek. Rzeźby Eugeniusza Żarkowskiego są to głównie charakterystyczne popiersia oraz piękne kompozycje postaci.





Fot. Borek





Powyżej:
**KOŚCIÓŁEK W ZAKOPANEM**
Obraz olejny Stanisława Kamockiego oddający doskonale atmosferę tych starych zabytków budowlanych.

Na lewo:
**MARTWA NATURA**
Akwarela Ziemowita Szumana. Doskonałe dzieło wykazujące duże zdolności artysty.

Na prawo:
**AUTOPORTRET**
Artysta-malarz, Roman Merzowicz-Mirza namalował swój portret przy sztalugach.

Powyżej na lewo:
**JESIEŃ**
Obraz olejny Franciszka Wójcika przekonywująco oddający nastrój tej pory roku.

Poniżej:
**PO OTWARCIU WYSTAWY**
Wystawę otwarł komisarz miasta Zakopanego Klehnert w obecności przedstawicieli rządu i władz. Na zdjęciu widzimy malarza Stanisława Gałka, który po otwarciu wystawy objaśnia gościom znaczenie obrazów.

Na prawo:
**HELA**
Obraz pastelowy Karola Kłosowskiego, który doskonale opanował technikę pastelową obok olejnej.





# „EGZAMIN HODOWCÓW”





Dorosłe i całkiem młode okazy zwierząt rasowych przedefilowały przed komisją egzaminacyjną.



Niezwykle piękny okaz buhaja.

Aukcja bydła domowego jest zarazem przeglądem stanu hodowli bydła w pewnym okręgu. Na takim pokazie bowiem widzi publiczność ogrom całorocznej pracy hodowcy, która może być tu należycie zbadaną i ocenioną, a rozdzielenie premij i medali na końcu aukcji stanowi dla hodowcy uznanie i nagrodę za poniesione trudy. Zwierzęta rasowe sprzedawane na pokazie i następującym po nim przetargu publicznym przyczyniają się do poprawy rasy bydła w coraz to dalszych okolicach i w ten sposób ulepsza się bez ustanku hodowlę bydła krajowego.





Na prawo: Na tej aukcji można było ujrzeć również piękne okazy baranów i owiec.



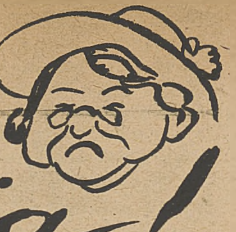
W Krakowie odbyła się niedawno licytacja buhajów i knurów. Na lewo i powyżej: Komisja ocenia jakość zwierząt.

Fot. Borek



Dwaj rozumiejący się na rzeczy widzowie krytycznym okiem obserwują przeprowadzane okazy.

# Ach ta ciocia!



## HUMORESKA — NAPISAŁ: ANDER

Dopiero po zakupieniu biletu i nadaniu rzeczy na bagaż, pan Witold Strzycki zaryzykował pytanie:

— Czy koniecznie musisz już dzisiaj wyjechać kochana cioteczko?

Pani w buraczkowym kapeluszu, najstaranniej dobranym barwą do różu na policzkach, spojrzała na niego z rozczuleniem.

— Niestety, muszę! Miałam zamiar zabawić w mieście najwyżej jeden dzień, a siedziałam przez całe trzy dni. Obawiam się, że zanudziłeś się na śmierć w towarzystwie starej ciotki — krygowała się z kokieterią, pragnąc wywołać komplement.

Uszczęśliwiony jej bliskim odjazdem, rozpływał się w galanteri:

— Skądże znowu ciotuniu! Było mi bardzo przyjemnie. Ciocia nie ma pojęcia, jak na tym wielkomiejskim bruku, czuję się czasami osamotniony i spragniony rodzinnego ciepła. Jestem niepocieszony, że ciocia już wyjeżdża. Ciocia powinna zamieszkać tutaj na stałe. To doprawdy grzech, żeby taka urocza, elegancka osoba marnowała się na prowincji.

Oszołomiona grzecznościami niewiasta, sama nie wiedząc kiedy, znalazła się w wagonie. Pan Witold ulokował ją jak najwygodniej, zaopatrzył w gazety i słodycze, wycałował po rękach — i długo jeszcze z zapałem machał kapeluszem, za odjeżdżającym pociągiem. Niewątpliwie była to chwila najprzyjemniejsza z wszystkich, które spędził na usługach wymagającej ciotki, przybyłej z prowincji dla załatwienia drobnych sprawunków. Wymagająca dama, przeceniając a priori jego uczucia rodzinne, nie puszczała go od siebie ani na krok, obwodząc go wytrwale w charakterze doradcy i bagażowego, po wszystkich możliwych i niemożliwych magazynach miasta.

Depcąc po piętach wystrojonej cioci, obładowany paczkami ponad ludzką możliwość, powziął pan Witold żywą urazę do autora kodeksu towarzyskiego, który nakazuje, pod groźbą utraty czci i honoru, uprzejmość dla kobiet w ogólności, a dla samotnych ciotek, z widokami na pokaźny spadek w szczególności.

Poczęły go nawiedzać, jak po przepiciu, głębokie, filozoficzne refleksje. Np.: że szczerość cudownie uprościłaby życie. Zamiast wlec się za ciotunią, umalowaną ekscentrycznie jak wielkanocna kraszanka, i przeliczać bez końca: pudło z kapeluszem, paczka z ciastkami, parasolka, teczka z żółtej skóry, teczka z czarnej skóry, mopsik, — skłoniłby się wytwornie i przemówił w te mniej więcej słowa:

— Kochana cioteczka pozwoli, że pozostawię ją samą. Znudził mnie już śmiertelnie monolog cioci o chorobach trzody chlewnej. Zaś do magazynów, z konfekcją damską, zakazał mi wstępować mój spowiednik, pod groźbą kar doczesnych i wiekuistych z tego powodu, że rozrzucone po ladach, dyskretne części garderoby damskiej budzą we mnie zazwyczaj niebezpieczne pokusy. By jednak udowodnić cioci, że uczucia rodzinne pielęgnuję w sobie starannie i otaczam niekłamanym pietyzmem, gotów jestem ponieść koszta bagażowego, który z zawodową zręcznością uniesie podwójnie wielką liczbę paczek i za pewną nieznaczną dopłatą wysłucha w skupionym milczeniu wszystkiego, co mu tylko ciocia łaskawie zechce opowiedzieć.

To byłoby szczere, ale niestety, pan Witold tylko w marzeniach umiał być oryginalnym. W rzeczywistości wieczne „nie wypada", „nie uchodzi", „nie należy", ściągało cugle jego światoburczych zapędów i nawracało go na nudną autostradę konwenansu. Jedyną satysfakcją, której nie umiał sobie odmówić, było to, że powodzią zachwytów skłonił ciotkę do kupienia toalety, w której wyglądała — jak słoń w szlafroku.

— Chwała Bogu — odetchnął. — Pojechała nareszcie! — Przypomniał sobie, o czym zapomniał był na chwilę w radości wyzwolenia, że miał zamiar udać się zaraz do Ewy. Przez całe trzy dni, stracone na usługach cioci, nie znalazł nawet tyle czasu, by napisać do Ewy z usprawiedliwieniem.

Wyszedł z dworca, zapalił i raźno ruszył do domu. Chciał jak najprędzej być już z Ewą, a tu należało się jeszcze przebrać, bo na pewno wybiorą się gdzieś na kolację. Pogwizdując wesoło wbiegł na schody. Cieszył się. Było to jego ulubione zajęcie, a teraz miał przecież specjalne po temu powody. Ciocia pojechała... Wkrótce zobaczy się z Ewą...

— O, jakiś listek przywiał wiatr — ciągnął zauważywszy przy otwieraniu zatrzasku, bielejący w skrzynce list.

— Zobaczymy co to nowego... Co?... pismo Ewy — zdziwił się oglądając list. — Cóż się tam stało?... Zobaczymy.

Pogwizdując tango: „List zostawiłaś na stole", jako kojarzące mu się z trzymanym w ręku listem, rozerwał kopertę, zaczął czytać. Urwał gwizdanie w pół taktu, zrobił minę, jaką określa się, może niezbyt wytwornie, ale za to dosadnie i obrazowo zbaraniałą.

*„Szanowny Panie!"*

— Co? Panie? i w dodatku szanowny? Co to ma znaczyć? — zdziwił się niepomiernie.

*Od trzech dni nie daje Pan znaku życia, co już jest samo przez się rzeczą wielce dziwną. W dodatku miałam zaszczyt widzieć Pana w „Europejskiej", w towarzystwie, wielce przez Pana admirowanej, pani w niebieskiej toalecie. Komentarze zbyteczne. Rozumiem. Posądzałam Pana o lepszy gust. Pomyliłam się mocno na Panu — wobec tego nie mamy sobie już nic do powiedzenia.*

*Ewa*

— Oszalała dziewczyna! A to historia! „Pani w niebieskiej toalecie" — „admirowanie"! — „Nie mamy sobie nic do powiedzenia!"

Ależ mamy! Mamy!

Witold czym prędzej porwał kapelusz i popędził do Ewy.

Drzwi otworzyła mu stara Walentowa — służąca.

— Panna Ewa w domu? — zapytał.

— Panna Ewa wyjechała.

— Wyjechała? Kiedy? Dokąd? — pytał zdziwiony.

— Dzisiaj rano. W niewiadomym kierunku — podkreśliła mocno ostatnie słowa.

— Jak to?

— Tak kazała mi informować pytających o nią. Żadnych innych zleceń nie otrzymałam.

— A pan inżynier?

— Pan inżynier wyjechał przed dwoma dniami na kurację do Krynicy.

— Ach tak... Dowidzenia.

Odsunął kapelusz na tył głowy. Zrobiło mu się gorąco.

— A to kabała! Co ta Ewa zrobiła! Psia krew! Ta ciocia! — napłynęła nań fala wściekłości.

— Co teraz robić? Nie dobrze! Ej ta Ewa!

Wiedział, że jest strasznie uparta. Zawsze musiała postawić na swoim. Powoli wlókł się ulicą.

— Pojechała — myślał — licho wie dokąd, nie odezwie się ni słowem. Co robić?

Naraz przystanął, olśniony nagłą myślą. — Ależ naturalnie! — wykrzyknął głośno, aż mijające go właśnie dwie pensjonarki oglądnęły się za nim i parsknęły śmiechem. Nie zwrócił na to uwagi. Ruszył raźno naprzód, ucieszony, że objawiło mu się tak łatwe wyjście z przykrej sytuacji.

— Przecież to takie proste — myślał, uśmiechając się do siebie. — Gdzieżby mogła pojechać, jak nie do Krynicy, do ojca. Zadzwonię — wytłumaczę wszystko...

Nagle zwolnił kroku i przestał się uśmiechać. Opadły go wątpliwości.

— Zadzwonić — no dobrze — ale jeżeli inżynier podobnie jak u siebie w domu kazał i tam wyrzucić telefon? Stary dziwak!

— Nie krytykuj! — zgromił sam siebie — to ojciec Ewy. Zresztą ludzie bogaci mogą a nawet powinni mieć jakieś dziwactwa, to ich tym więcej wyróżnia z szarego tłumu.

— Już tam jakoś będzie — uspokajał sam siebie.

Zaraz po powrocie do domu, zasięgnąwszy informacji biura adresowego w Krynicy, zadzwonił do inżyniera.

— Hallo! Czy pan inżynier Zator?

. . . . . .

— Moje uszanowanie. Mówi Strzycki. Czy panna Ewa jest u pana?

. . . . . .

— Nie — w domu także jej nie ma. Wyjechała wczoraj. Nic pan inżynier o tym nie wie?

. . . . . .

— Kazała mnie poinformować, że wyjechała w niewiadomym kierunku.

. . . . . .

— Dlaczego? — Ach — zaszło pewne nieporozumienie. Panna Ewa zerwała ze mną i wyjechała.

. . . . . .

— Ależ nie! Doprawdy nie. Ot, zwykłe nieporozumienie.

. . . . . .

— Tak. Tak właśnie kazała mi oznajmić: w niewiadomym kierunku.

. . . . . .

— Owszem, mieliśmy w planie wyjechać razem, ale to dopiero za dwa tygodnie.

. . . . . .

— Ja sam nie wiem co robić. Byłem pewny, że Ewa jest u pana.

. . . . . .

— Słucham.

. . . . . .

— Mam jej szukać? Ale gdzie?

. . . . . .

— W niewiadomym... Ależ panie inżynierze! Hallo! Hallo...

— Masz ci los! Szukaj teraz w niewiadomym kierunku. Rozdrażniony rzucił słuchawkę na widełki.

— A to postawiła kabałę ta nieznośna Ewa — denerwował się, chodząc wzburzony po pokoju.

— Szukać! W niewiadomym kierunku! Hm... Może i racja — zastanowił się przystając.

— Trzeba szukać. — Będzie to napewno lepsze niż bezczynne siedzenie.

Od dawna już było postanowione, że część lata spędzą z Ewą w Zakopanym. Ewa miała tam jakąś kuzynkę — czy ciocię — nie mógł sobie w tej chwili przypomnieć dokładnie stopnia ich pokrewieństwa, ale jak tonący brzytwy chwycił się myśli, że może tam odnajdzie Ewę.

— Jadę — zdecydował, bez długiego namysłu. Zapakował do walizki najpotrzebniejsze drobiazgi. Kilka chwil i Witold zbiegał z góry gotów do drogi. Wstąpił zawiadomić dozorcę.

— Wyjeżdżam proszę pana w niewiadomym kierunku. Nie wiem jeszcze kiedy wrócę. Dowidzenia. — Już był za bramą.

— A mówiłem, że z nim coś nie w porządku — mruczał dozorca, zaplótłszy ręce na wcale pokaźnym brzuszku i kiwając współczującą głową. — Zawsze skakał co trzy schody i coś tam do siebie gadał. Ale teraz to go już na amen wzięło.

Po niedługim czasie Witold wyglądał już oknem wagonu. I znów przypomniała mu się ciocia. Życząc jej rasowym świnkom morowej zarazy wcisnął się zły w kąt przedziału. — Pojechał. Pociąg pędził — łoskotem kół mącąc ciszę nocy. Dudnił głucho na mostach, łomotał na zwrotnicach małych, skąpo oświetlonych stacyjek. Witold wsłuchiwał się w równomierny stukot kół i jak gdyby to mogło coś pomóc, przynaglał je, powtarzając w myśli: — Prędzej, prędzej, prędzej, prędzej...

— Ależ powoli, powoli, nic się nie pali — mruczała Walentowa spiesząc ku drzwiom, nad którymi niecierpliwie terkotał dzwonek.

— Ojej! Pan inżynier wrócił! Co się stało? Była tak bardzo zdumiona, że zapomniała usunąć się z drogi, by przepuścić swego chlebodawcę.

— A właśnie! Co się stało? Gdzie Ewa? — pytał inżynier szybko, usuwając Walentową z przejścia.

— Panienka? a gdzieżby, u siebie na górze.

— Kiedy wróciła?

Walentowa nigdy jeszcze nie widziała inżyniera w stanie takiego wzburzenia, toteż zdziwienie odebrało jej mowę. On zaś rzucił trencz i podręczną walizkę na fotel i z zadziwiającą jak na jego wiek szybkością pospieszył na górę.

Niecierpliwy dzwonek i głosy wywabiły nudzącą się nad marną powieścią Ewę.

— O! Tatunek! Co się stało? — zawołał biegnąc ku niemu.

— Znów ta z kolei pyta co się stało! — krzyczał zasapany inżynier. — Przecież to ja od dziesięciu godzin stale sobie powtarzam to pytanie. Co się stało? Co się tam stało u licha? Co ty wyprawiasz? Cóż to za eskapady urządzasz? — wyrzucał z siebie inżynier.

— Jakie eskapady? — zdziwiła się Ewa. — Od twojego wyjazdu cały czas jestem w domu. Doprawdy nie rozumiem.

— Acha! Za to ja zaczynam już coś niecoś rozumieć. — Podszedł ku niej i pocałował ją w czoło.

— Chwała Bogu, że jest — pomyślał.

— Schody nie są miejscem odpowiednim do konwersacji, moja droga. Chodźmy do ciebie, porozmawiamy. Weszli do małego, jasnego pokoiku.

— O! zmiana dekoracji — odezwał się inżynier z uśmiechem, zauważywszy, że na stoliku, gdzie stała zwykle fotografia Witolda, stoi teraz jej własne zdjęcie.

— Gdzież to wyrzuciłaś sprawcę zamętu?

— Ach, więc to Witold — szepnęła.

— A tak, tak, Witold. Dzwonił do mnie. Stracił chłopak głowę. Pojechałaś podobno w nieznane. Zerwałaś. No i cóż właściwie się stało? — mówże miłośniczko podróży w nieznane.

Ewa zagryzła wargi. Wcale nie było jej do śmiechu.

— No cóż — pytał dalej inżynier, biorąc ją za ramiona, pokłóciliście się zapewne, jak zwykle, o któregoś z adoratorów. Nie? Może scena zazdrości o artystkę z ostatniego filmu, też nie? No to może stokrotka wywróżyła, że nie kocha. I to także nie? Ha, to już nie pamiętam o co więcej mogą się kłócić zakochani.

— Czemu żartujesz sobie ze mnie — ozwała się Ewa z wyrzutem.

— Ależ bynajmniej nie żartuję. No więc co właściwie się stało?

— Witold przez trzy dni nie dał znaku życia.

— Co? — I to cały powód tragedii? Widocznie coś mu stanęło na przeszkodzie. Może cierpiał na vin triste po jakiej sutej libacji, może odprawiał spowiedź generalną, może... och, tyle można znaleźć powodów, kto widział robić zaraz tragedię. Może musiał gdzie nagle wyjechać.

— Nie! — krzyknęła. — Nigdzie nie wyjeżdżał. Widziałam go w „Europejskiej", w towarzystwie jakiejś kobiety. Odprowadził ją do hotelu — dodała cicho i rozpłakała się.

Inżynier nie wiedział co ma na to powiedzieć. Lubił przykre rzeczy obracać w żart, chwilowo zabrakło mu dowcipu.

— Ach, tak — westchnął tylko. — Znów nic nie rozumiem. Mówił, że zaszło nieporozumienie. — No, ale daj spokój — pogładził Ewę po włosach — wezwiemy sprawcę zamętu niech się wytłumaczy. Pierwszy raz żałuję, że nie mam w domu telefonu. Każę założyć.

Wyszedł by z pobliskiego sklepu zadzwonić do Witolda. Nie zastał go jednak w domu.

Jeszcze dwa razy tego wieczoru dzwonił do niego, nazajutrz znów — żadnej odpowiedzi. Dopiero posłaniec, wysłany z listem wrócił z wiadomością, że pan Strzycki wyjechał w niewiadomym kierunku. Inżynier usłyszawszy to, aż powstał od stołu.

— Co?! — wykrzyknął. — Pojechał? A to postrzelona głowa! Posłuchał...

— Posłuchał? Jak to? — Ewa ze zdumieniem spojrzała na ojca.

— Ech, no bo widzisz, byłem tak zaniepokojony o ciebie i zły, poradziłem mu by jechał cię szukać w niewiadomym kierunku, no a ten niewiele myśląc pojechał. No, ale nie martw się, nie martw, za dwa dni wróci. Napewno wróci.

— Dozorca mówił, że mu coś źle z oczu patrzało — dokończyła relacji Walentowa.

— No i co tato zrobił najlepszego! — wybuchła Ewa nagłym płaczem.

Inżynier był mocno zakłopotany.

— Ależ nie płacz Ewuś — mówił gładząc ją po włosach — daj spokój, nic sobie złego nie zrobi. Znajdzie się, znajdzie. No, nie bądź dziecinna.

— Dziecinna, dziecinna, zawsze jestem dziecinna — szloch rwał jej słowa. — Zapomina tato, że mam już dwadzieścia lat. Traktuje mnie stale jak dziecko. Wszystko co powiem ośmiesza, zbija żartem. Nie chce zrozumieć... nie pozwoli mi myśleć i mówić poważnie. Ale nie! Właśnie pokażę, że nie jestem już dzieckiem. Udowodnię...

— Ależ Ewa! Masz rację, jesteś już osobą dojrzałą, tylko nie rób tragedii z tego, co ma wszelkie walory po temu, by być komedią.

— Komedią?! Mnie ta komedia drogo kosztuje.

— Bo patrzysz na nią przez wywracające świat do góry nogami okulary miłości. Tażto przecież dziecinada... ach! przepraszam! — uderzył się dłonią po ustach, ale już było za późno.

## IMPRESJE

*Zabierz mnie na pieszczot szalony taniec*
*niech ciszę serca rozedrze szkarłatny krzyk krwi*
*— zabierz na biódr kołysanie*
*na gwiazd migotanie*
*z ust słodycz mych zcałuj i spij.*

*Zachwyci nas zmysłów rozkoszny zawrót*
*w otchłanne mnie porwij ramiona*
*i burzę rozpętaj — niech trwam w niej — niech skonam*
*i do kolan Twych upaść — nie zabroń*

*Gdy podajesz czarę upojeń tych złotą*
*i jasny ogień obejmuje ciało*
*w uniesień królewskiej purpurze*
*zagubionam — — — — — — — — —*
*— — — — pytam — — — —*
*— — gdzie byłeś, że nie znalazłam Cię dotąd?*
*a tylko serce Cię dawno już znało.*
*— — — — — — — — — — — — — —*
*Miłość po łzach — jak tęcza — przychodzi po burzy.*

AMALIA ŁUCZYŃSKA

— Nie będę więcej dziecinna! Zobaczysz! — krzyknęła Ewa i wybiegła z pokoju, akcentując siłę postanowienia głośnym trzaśnięciem drzwiami. Wieczorem, kilka najskromniejszych sukienek Ewy, z dodatkiem ich egzaltowanej właścicielki, zniknęło z komfortowej willi inżyniera Zatora.

„*Idę udowadniać* — objaśniał inżyniera list, jaki znalazł na stole — *że umiem być poważną, myśleć poważnie i poważnie pracować. Jeśli nie będę mogła dać sobie rady sama, wrócę i przyznam Ci rację, że jestem jeszcze dzieckiem. W przeciwnym razie, wrócę kiedy uznam za stosowne.*

*Nie martw się i nie gniewaj na*

*Ewę*"

— Do czarta! ma dziewczyna charakter. — Inżynier tarł dłonią czoło, jak gdyby chciał wypłoszyć stamtąd jaką mądrą radę.

— Poszła udowadniać — perorował — właśnie udowodniła doskonale, że jest uparty, niemądry dzieciak. Cała nadzieja w tym, że samodzielność wnet jej się znudzi. Chce mnie nastraszyć. Pewno przenocuje u której z koleżanek i jutro wróci do domu. A jeśli nie? Wyjątkowo się zawzięła. Ha! no to na odmianę ja będę musiał iść szukać w nieznane. — Był w tym momencie szczerze zmartwiony. — Sądzę, że jednak wróci. Napewno wróci. — Uspokajał sam siebie.

*

Od dwu dni bawił Strzycki w górach. Ewy oczywiście nie znalazł. Nie znalazł nawet jej kuzynki, bo jak go poinformowano, wyjechała na pewien czas do jednej z przyjaciółek. Doszedłszy do wniosku, że szukanie wiatru w polu to bardzo niewdzięczne zajęcie, postanowił Strzycki pozostać przez pewien czas w górach. Sądził, że zmiana otoczenia pozwoli mu łatwiej przezwyciężyć tęsknotę. W międzyczasie Ewa na pewno wróci do domu, wtedy pojedzie do niej i wytłumaczy wszystko. Zamieszkał w schronisku na hali. Odbywał dalekie, forsowne wycieczki, starał się być stale w ruchu. Najgorsze były wieczory. Razem z urokiem spływała na niego nostalgia.

Tak było i teraz. Siedział właśnie w sali restauracyjnej, palił papierosa i kreślił ołówkiem, na papierowej serwetce, fantastyczne zygzaki i kreski. Całkiem bezwiednie napisało się słowo: Ewa — Jedno, drugie, trzecie — cały szereg. Jedno obok drugiego malejące stopniowo. Spostrzegł się po chwili. Wydało mu się, że słowo to ucieka od niego, jest coraz dalej, coraz mniejsze...

Ewa! — Znów myśli zerwały się do lotu.

Trzeba jechać, szukać. Ale gdzie? Ot tak przed siebie, bez celu?

Bez celu — napisał, jakby chcąc sobie lepiej jeszcze słowo to uzmysłowić. Wstrętne słowo — myślał przypatrując mu się uważnie. Całą swą wymowę zawdzięcza temu właśnie, że nic nie mówi, że oznacza pustkę, przeraźliwą pustkę, jaka otwiera się przed nami. W tym miejscu kończy się życie. — Bo w życiu musi być cel! Bo życie to nieustanne osiąganie i nieustanne rzucanie w przestrzeń nowych tarcz!

Bez celu . . . Myśli ruszyły wartko. Poczęły piętrzyć się cisnąć. Był niesłychanie podniecony. I nastąpiło to, co musiało nastąpić — odprężenie. Plan skrystalizował się. Z chaosu myśli wyłoniły się wyraźnie postacie — ożyły — poczęły myśleć — czuć — pragnąć — tęsknić . . . A on pospiesznie, na tym co miał pod ręką — na papierowej serwetce — znaczył każdy ich krok, każde słowo i myśl. Pisał...

Każda z rzeczy, które dotychczas napisał, a miał ich już kilka za sobą, powstała pod wpływem wewnętrznego przymusu. Nagromadzone myśli musiały znaleźć odpływ, musiały się wypowiedzieć, przybrać konkretną formę i zostać po za nim, obleczone w swój własny kształt.

*

Pan N..., redaktor najpoczytniejszego magazynu, siedział przy biurku i układał materiał do najbliższego numeru. Brakowało mu jeszcze noweli. Przeglądnął kilka rękopisów, ale z żadnego nie był zadowolony. Nie dlatego by były złe. Owszem, niektóre były bardzo oryginalne, dowcipne, pełne treści. Pan redaktor jednak chciał mieć coś innego. Coś, co harmonizowałoby z treścią całego numeru, który poświęcony miał być górom. Harmonia — zestrojenie ze sobą całej treści, przystrojenie jej dobranymi odpowiednio ilustracjami, było to jednym z przykazań pana redaktora. Jesienią, numer płakał kroplami deszczu, skarżył się zawodzeniem wiatru. W pustce zasnutych mgłami pól, konała czyjaś miłość. Na ilustracjach wiatr giął bezlistne drzewa i lśniły oślizgłe od deszczu asfalty. Mgła jesiennej melancholii snuła się po całym numerze. Na wiosnę numer kwitł, jak jabłonkowy sad, śpiewał jak trel słowiczy, woniał jak bukiet bzu. Na ilustracjach wiośniane piękności tuliły do ust rozkwitłe pęki kwiatów.

*Dokończenie w następnym numerze*

**Ilustrowany Kurier Polski — Krakau, Redakcja: ul. Piłsudskiego 19 tel. 353-93 — Wydawnictwo: Wielopole 1 tel. 220-61 — Pocztowe Konto Czekowe: Warschau Nr. 900**





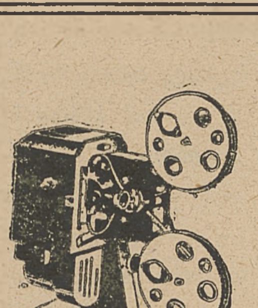




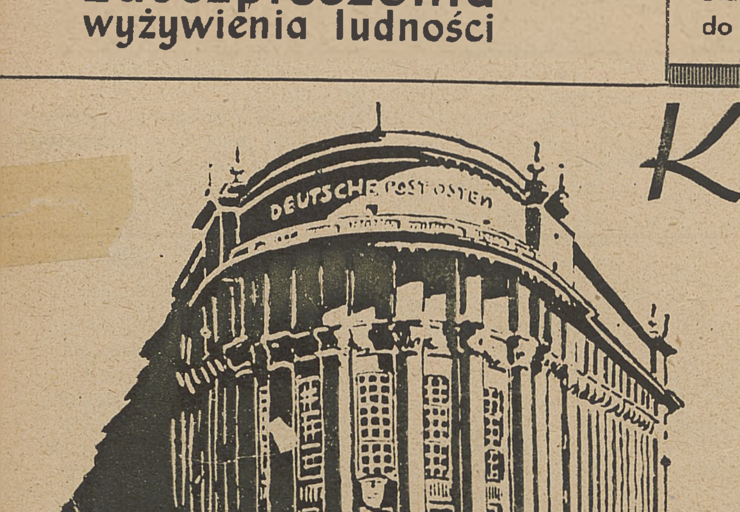












# Historia pewnego Klejnotu

R. St. Pelc

Musiała kochać go w te dni, kiedy zgodziła się zostać jego żoną, w te najszczęśliwsze z życia. Obejmowała wtedy ramionami jego głowę, tuliła do piersi bijących żarem ukochania i zapominał o oddalonym wirze życia, widząc cały swój świat w jej łagodnych, rzewnoszczęsnych oczach, znajdując przy niej idealny spokój ducha.

Przez okres roku, co mgnieniem błyskawicy zapadł w niepowrotne — nie zamienili jednego gorzkiego słowa, nie było między nimi najmniejszej sprzeczki, tylko cichorzewna, głęboka miłość dusz, co zrozumiały same siebie.

Pokochał ją i nie wglądając w dawne dni, zadowolił się jej szczerymi słowami; że była sama, samiutka na świecie, że była biedna i przez los prześladowana.

I oto dziś rzekła mu cicho:

— Odchodzę Bronku i wierzę, że odejść mi pozwolisz. A pozwolisz dlatego, iż poznałam na wskroś całego ciebie i miłość, jaką żywisz dla mnie. Dziś zrozumiałam, że nie kocham cię i kochać nie mogę. Więcej nie staraj się pytać. Może kiedyś dowiesz się sam dlaczego, lecz nigdy mnie nie potępiaj. — A teraz żegnam cię i dziękuję za okruch wspólnego szczęścia. Bądź zdrów, Bronisławie!...

Stał niemy.

Moc brzemiennych słów waliła ciężką nawałą trwogi i bólu, a on zrozumieć nie mógł, dlaczego kochać go nie może, jak dotąd. Później dziesiątki razy powtarzał słowa, które rzekła w chwili rozstania i zastanawiać się począł, czemu głos jej drżał wzruszeniem, a oczy dziwnie trwożne błądziły bez celu. Zdawało mu się teraz, że pożądanie śmierci czaiło się w nich, a odruch pożegnania miał w sobie coś z ostatnich chwil człowieka, wstępującego w otchłań potępienia.

I począł wyrzucać sobie nieopatrzność wielką, bo przecież bez słowa nie powinien był pozwolić jej odejść?... Dnie samotności stały się dlań najsroższą męką, przywołując na myśl ostatnią chwilę, a on nic uczynić nie mógł, nie wiedząc gdzie odeszła i po co...

Rzucił się w wir pracy, szukając zapomnienia...

Tak przyszedł dzień, kiedy w jego biurze zjawił się starszy jegomość, ubogo lecz czysto ubrany, skłonił się i głosem człowieka, który wie, że wysłuchać go muszą, rzekł:

— Mam do powiedzenia kilka słów dość ważnych dla pana, więc myślę, że zechce mi pan poświęcić chwilę czasu.

Zdziwił się Bronisław, bo z wyglądu człowiek ów wydał mu się znajomy, lecz gdzie go widział, tego przypomnieć sobie nie mógł.

— O co chodzi? — zapytał.

— Chciałem przyjść z pomocą pewnej sobie posądzonej niesłusznie o przywłaszczenie, a raczej nie ja, tylko mój przyjaciel. On właśnie zawiadomił mnie listownie, że pan podejmie się tej sprawy. Historia przedstawia się następująco: w nieznanych bliżej okolicznościach znikł brylant wielkiej wartości, o co została posądzona pewna młoda, śliczna i dobra istota, która swojego czasu była nauczycielką młodej panny w domu pana Łapczy właściciela klejnotu. W czasie śledztwa pani ta wyjechała i wszelki ślad o niej zaginął, co utrwaliło stróży bezpieczeństwa w mniemaniu, iż ona kamień zabrała. Wczoraj z listu przyjaciela dowiedziałem się, że ją przytrzymano, dlatego dzisiaj jestem tutaj. Musi pan wiedzieć, że znam osobiście obecnego właściciela brylantu.

Bronisław podniósł się zdziwiony.

— Dlaczego więc nie poszedł pan wprost do sędziego, który zajmuje się tą sprawą?...

— Dlatego, że sprawa jest nieco zawikłana i przyjaciel mój sądził, że pan, słynny adwokat, załatwi sprawę najlepiej.



— No tak, ale muszę przecież wiedzieć, kto posiada ten brylant.

— Zaraz się pan dowie. Dawny właściciel brylantu, a mój przyjaciel, chcąc dokuczyć sknerze i lichwiarzowi, który wykorzystując jego rozpaczliwe położenie, nabył klejnot za bezcen i odsprzedać go z powrotem nie chciał, mimo ustnej umowy zawartej przy sprzedaży, klejnot wykradł i sprzedał, a sumę wraz z procentem taką, za jaką przedtem wymienionemu sknerze kamień odstąpił — przed kilku dniami zwrócił temuż. Że sprawa jednak przybrała obrót nieprzewidziany i w krąg podejrzenia włączono osobę, o której mówiłem panu na wstępie, przyjaciel mój kazał mi zawiadomić pana (obecnie bowiem przebywa za granicą) i wręczyć panu dowód nadania pieniężnej sumy. A teraz małe pytanie: — Kupił pan przed rokiem u jubilera „Z i Ska" brylant z inicjałami „K. W."...

— Kupiłem dla żony — odparł zdziwiony Bronisław — ale to nie należy przecież do rzeczy.

— Należy, bo jest to właśnie przedmiot, o który toczy się sprawa. Mój przyjaciel sprzedał kamień po zmianie jego zewnętrznego wyglądu, lecz zastrzegł sobie nazwisko nabywcy. Poinformowano go, że pan klejnot nabył, a dane, o które pytałem, zgadzają się.

Bronisław chciał mu przerwać, lecz nieznajomy ciągnął dalej:

— Jutro w miasteczku P. o godzinie dziesiątej, w sali Nr. 11, dowie się pan reszty. Znajdzie pan cenniejszy skarb od brylantu, lecz jaki, tego mój przyjaciel nie pisze. Wspominając jedynie pewien dżdżysty, marcowy dzień, żałuje szczerze, że zostaje wtrącony pan w tę sprawę, co nie miałoby nigdy miejsca, gdyby nie chodziło o niewinną kobietę — to mówiąc, nieznajomy zniknął za drzwiami tak szybko, że Bronisław pozostał w miejscu jak zaklęty, wiedząc, że pościg byłby daremny...

Nazajutrz w miasteczku P. na sesji wyjazdowej Sądu Okręgowego w sali Nr. 11, zgromadzili się licznie mieszkańcy, ciekawi wyniku rozprawy, która ze względu na podłoże dość sensacyjne, narobiła wiele rozgłosu w małej mieścinie.

Serca wszystkich lgnęły bezwiednie do tej, która za kilka chwil mogła być osądzoną, a w winę której nikt uwierzyć nie chciał.

Oskarżeniu zaprzeczyła jednym słowem i zamilkła.

A kiedy obrońca z urzędu skończył swą mowę i prokurator podniósł się, by poprzeć akt oskarżenia w całej rozciągłości: „...zbrodniczość mieści się w takich właśnie na pozór niewinnych istotach, które siłą swego uroku i niezwykłą urodą, używając ją na zło, mamią oczy prawowiernych obywateli, pasożytując"... w tej chwili wszedł na salę z pośpiechem — Bronisław.

Szybkim krokiem ruszył do trybuny i nagle rzuciwszy spojrzenie w prawo, stanął i przybladł na twarzy. Na ławie oskarżonych siedziała — jego Janka!...

Odwróciła właśnie twarz i okrzyk przerażenia skonał jej na ustach. Zemdlała...

Na sali wszczął się ruch.

Bronisław stanął przed prokuratorem. Rozmawiali długo...

W tym samym czasie wezwano poszkodowanego p. Łapczę do telefonu, po wysłuchaniu którego on sam zbliżył się do żywo rozmawiających.

— Panie prokuratorze, cofam oskarżenie.. etc.

Janka przyszła do siebie. Spojrzała nieprzytomnie dokoła, a gdy Bronek, jej Bronek, stanął przed nią, wybuchła rzewnym płaczem, co niósł się echem po sali jeszcze wtedy, gdy była już daleko od groźnych murów...

— Dlatego zrozumiałaś, że nie kochasz mnie, dlatego?... Oj głuptasku kochany...

Cicha przytuliła się do jego piersi.

— Mimo że byłam niewinną, nie mogłam przeżyć męki szczutej zwierzyny, a widząc, że jestem śledzoną, oddałam się w ręce sprawiedliwości. Zrozumiałam, że wyjazdem z miasteczka zamiast uchronić się, poparłam oskarżenie przeciwko sobie. A dlatego, że życie nauczyło mnie jednej przykrej, lecz prawdziwej rzeczy — iż od nieszczęśliwych odwracają się wszyscy, nie patrząc na to, że mogą sądzić zbyt pochopnie — dlatego odeszłam.

— Ależ Janeczko?!..

— Nie mów kochanie. Ciebie chciałam ratować od hańby, którą przeżyć mogłeś, gdyby uznano mnie za winną, a ty nie pytałeś nigdy o mą przeszłość, wierząc, że zdobyłeś skarb, a ja... a ja... bałam się nawet cienia przypuszczeń...

Porwał ją w ramiona i tulił długo, najdłużej w życiu.

A później w zmierzchu dnia opowiedział jej o pewnym nieznajomym i o jednym dżdżystym dniu marcowym, w który pełen młodzieńczego zapału bronił bezinteresownie człowieka przed trybuną, będąc przekonany o jego niewinności.

— Nie zawiodłem się — rzekł wkońcu — Człowiek ten spłacając dług wdzięczności — wrócił mi ciebie... Tak Janko, są jeszcze ludzie i wdzięczne serca nie wymarły, tylko że my nie każdy odruch wdzięczności rozumiemy...

A potem na usta ich spłynęła cicha radość, śmiejąc się śmiechem gwiazd, co migotać poczęły na fiolecie nieba.



# Innymi drogami

JERZY EGLICZ

Było szare, deszczowe, mokre popołudnie. Nad ulicami wisiała mroczna zawieja deszczu i tylko tu i ówdzie przesuwały się niby za zielonawą szybą ludzkie postacie o twarzach zamazanych, skwaszonych, zapadłych w głąb zaszek oczach. Czasem jezdnią przewinął się, rozchlapując błoto — samochód, łyskając w szarą mgłę klingami żółtych reflektorów.

Przemoczony, zziębnięty wstąpiłem na pocztę, aby nadać list do narzeczonej, kiedy jednak chciałem sprawę załatwić przy okienku — tkwiący tam urzędnik jakimś dziwnym błyskiem oczu skierował mię ku bocznym drzwiom.

Otwarły się same, bezszelestnie — ja zaś miałem w mózgu tylko dziwny zamęt — ale to w tej chwili owiał mię cudowny, przesubtelny zapach lilii. Przestąpiłem próg i przed oczyma moimi roztoczył się osobliwy widok — gdzie okiem sięgnąć, tam ciągnęły się wspaniałe ogrody zalane potokami złocistego słońca, o kunsztownie wyznaczonych klombach, na których kwitły miliony lilii. Wiośniana ich a delikatna woń przenikała nozdrza. Stanąłem olśniony. Tam na ulicach deszcz i szara pomroka mgły — tu zaś, zatopiony w brzaskach letniego słońca ogród. Ostatkiem jedynie świadomości przypominałem sobie ów dziwny błysk w źrenicach pocztowego urzędnika.

Pustka — — — tylko gdzie wzrokiem rzucić lilie, białe, błękitne, różowe, szkarłatne w ciężkich, przepysznych kielichach, zroszonych perełkami mieniącej się tęczowo rosy. I pośród nich, strzelające w przeczysty lazur nieba minarety fontann i wodotrysków rozsypujących miliardy brylantowych ciemno-fiołkowych skrzeń.

Naraz przestrzeń zaczęła się dziwnie zwężać i ni stąd ni zowąd znalazłem się w podziemnej, osnutej nieprzeniknioną czernią czeluści. Gdzieś z góry, jakby ze stropu kapała woda, zaś na końcu perspektywicznej prostej, jaśniał jaskrawą pożogą bieli — rażący blask.

Idę — — — wpadam w błotniste kałuże, potem kroki dudnią tępo o twardy głaz. Nieogarnione zwaliska ciszy przytłaczają mózg. Wtem światło znikło, i tuż nade mną wyrosła smukła, w kształcie chińskiej pagody altanka.

Z wnętrza jej wyszedł blady o zielonej twarzy mężczyzna, ubrany w szary, wyplamiony, zmięty garnitur.

— Tam! — zadrżał jego ledwo dosłyszalny głos — wyciągnięte ramię wskazywało na kompleks płaskich, niskich budynków.

Począłem wlec się dalej. Po chwili, czy za godzinę, wstąpiłem w jakieś nawpółuchylone drzwi, i teraz kierowałem swe kroki przez niekończącą się amfiladę pokoi i pokoików. Wszędzie drzwi były nawpół-pootwierane, przy biurkach założonych stosami papierów, siedziały o zielonawych twarzach, pochylone postacie w szarych, wyplamionych, zmiętoszonych garniturach. Głucha, niczym niezmącona cisza kładła się na wszystko. I tylko księżycowe, połyskliwe ich oczy patrzyły uparcie, bez wyrazu, w jeden jakiś jedyny punkt. Sprószony popielatością ciemno seledynowy brzask włóczył się po kątach.

— Przepraszam pana, co to za biuro? — zapytałem pierwszego z brzegu urzędnika o zielonkawej, wyblakłej twarzy.

Podniósł na mnie oczy błyszczące fosforycznym blaskiem, otwarł, podobnie jak ryba usta, potem spuścił na piersi głowę, milcząc.

W głowie czułem senny wir, przed oczyma przewalały mi się kolorowe płachty — minąłem wolno jeszcze kilkanaście pokoi i znów wszedłem na otwartą przestrzeń.

Za moment dążyłem wzdłuż wysokich jakichś zmurszałych, zczerniałych murów — nade mną czaiła się noc głucha, mglista, wypełniona zmętniałymi oparami dżdżu, przewalającymi się spokojnymi falami, olśnionymi na szczytach, trupią seledynowo-niebieskawą śreżogą.

Aż nagle znalazłem się u wylotu Jagiellońskiej. Stałem sobie obecnie przed Uniwersytetem, podziwiając jego stylowe fasady. Później spokojnie, wolno ruszyłem ku ulicy Piłsudskiego. Nie myślałem o niczym, pod czaszką miałem kompletną pustkę, kroczyłem też automatycznie, tak, że nie zwróciłem nawet uwagi na fakt, iż ulica skąd inąd o tej porze, zawsze ruchliwa i gwarna — teraz była zupełnie wymarła. Jeno zwały buro-szarych oparów przewalały się mętnymi tumanami.

Przed „Muzeum Czapskich" zatrzymał mię gigantyczny, może trzysto-metrowej wysokości żelazo-betonowy mur. Lecz zanim zdołałem się zorientować, ciężkie, kute z bronzu podwoje rozwarły się same i — — —

— — — przestwór barwił się różaną jutrzenką. Delikatna kryształowa świetlistość otulała biegnące przede mną w górę, tarasami ulice. Po obu stronach chodników wznosiły się wspaniałe w orientalnym, maurytańskim stylu zbudowane pałace, jakby wykładane płytami biało-różowego marmuru, otoczone bogato rzeźbionymi kolumnami, przeglądającymi się w lustrach szafirowych sadzawek. Dalej płaszczyły się szerokimi dachami budynki, skonstruowane z poplątanych więzów i zczerniałych, opalonych belek i kłonic, nakrytych zmurszałymi gontami, opodal biły w przestwór nawpół-rozwalone kominy kolosalnych fabryk — połączone wężowiskami rurzysk oraz kabli. I nad wszystkim niema, tępa, niczym niezmącona cisza. Jeno jakieś szepty stłumione, szelesty szmerliwe, dolatywały to stąd to z owąd, do moich uszu.

Naraz za jedną z rozwalonych fabryk, przy zbiegu czterech ulic, zobaczyłem ogromny malowany na czarno drogowksaz, z wymalowanymi ogromnymi literami — CZWARTY WYMIAR. — Długo stałem, wpatrując się w owe tajemnicze słowa i naraz ujrzałem, wychodzącego z bramy renesansowej willi, szpakowatego na skroniach mężczyznę, o nienagannej powierzchowności i inteligentnych rysach intelektualisty. Gentleman ów przeszedł przez jezdnię i wstąpił do niskiej, skleconej z chrustu altanki, rozglądając się wokoło.

— Przepraszam najmocniej pana — zagadnąłem, uchylając automatycznym ruchem kapelusza — czy tędy będzie przejeżdżał autobus do rynku?

Nieme skinienie głową, było mi odpowiedzią.

I znów szepty, szelesty, szemrania, zdławione piski, jęki, pohukiwania.

Czekaliśmy. Zwolna zmierzchało. Od niebios spadały ławy granatowych cieni, w które nanizały się wstęgi karminu — zaś hen na skraju horyzontu żarzył się lodowy seledyn. Potem gwałtowne fale ciemni zatopiły miasto. Tylko gdzieś na krańcach płonęła feeriami srebrzystości misterna wieżyca minaretu, jakby wykuta z połyskliwego metalu.

Wreszcie zza węgła domu, buchnęły dwie ostre szpady żółtych ślepi reflektorów i za sekundę olbrzymi fosforyzujący zielono autobus, utknął tuż przede mną.

Z wnętrza dobył się głos:

— Niech pan wsiada, ale dowiozę pana zaledwie do granic „Czwartego Wymiaru"! Dalej nie mogę! No, bo w ogóle, jak się pan tu do nas dostał?

A wytworny gentleman o twarzy intelektualisty dodał:

— Zabłąkał się pewnie!

Wóz drgnął. Oparłem się wygodnie o poduszki, milcząc. Starszy pan, nie patrząc na mnie palił cygaro — poza tym w autobusie nie było zupełnie nikogo.

Za szybami czaiła się noc. W końcu zasnąłem — dziwiło mię tylko, że nie słyszałem dudniącego warkotu motoru.

— — — — — — — — —

Ocknąłem się gwałtownie. Leżałem pod okienkiem, na poczcie, nade mną pochylał się lekarz:

— Jakiś tajemniczy wypadek nagłego snu hypnotycznego — odezwał się cicho do asystenta.

Gapie kiwali głowami. Kiedy zaś podniesiono mię, zauważyłem, że za szklanną szybą okienka siedziała prześliczna złotowłosa kobieta . . .

### TY MOJE WIELKIE NAJPIĘKNIEJSZE SŁONCE

*Przeklinam jesień i ponurą zimę*
*i chmur zwaliska, za którymi w górze*
*przepysznie się złocisz. Tęsknie imię*
*Twoje wymawiam tonąc wzrokiem w niebie*
*i z czcią bałwochwalczą oczekuję Ciebie.*

*Myślą wybiegam w te dalekie strony*
*rozległej ziemi, gdzie nawet nadmiarem*
*łask swych obdarzasz, gdzie rozpaloną*
*do białości tarczą wszystko torturujesz,*
*gdzieś nie życiodajnym ciepłem, a pożarem.*

*Tak mi ogromnie brak jest Twego blasku*
*i tej radości którą we mnie niecisz,*
*kiedy zakreślasz niebo łukiem złotym —*
*Czemu tak krótko cudnym światłem świecisz?*
*Czemu mi skąpisz swej ciepłej pieszczoty?*

*Kocham Cię Słońce pogańską miłością,*
*Ty jesteś źródłem mej radości życia,*
*Tyś mą religią, do Ciebie się modlę*
*wzrokiem rozbłysłym od Twojej jasności*
*rozgorzałej ogniem gdzieś na niebios szczycie.*

*W Twoich promieni przepotężnym cudzie*
*wiosną świat śpiewa nowym odrodzeniem*
*i energia nowa zapala się w ludziach.*
*Szczęście wtedy króluje, a oczy stęsknione*
*śmieją się do Ciebie, prężą się ramiona.*

*Wszystko w co dusza moja jest bogata*
*składam Ci w darze Twój poddany*
*wierny, a uwielbienie moje jest gorące.*
*W Tobie bez reszty jestem zakochany —*
*Ty moje wielkie najpiękniejsze Słońce.*

**Marian Kralkowski**

## ZE SCEN WARSZAWY

Teatr „Jar" na tzw. sezon ogórkowy wystawił pełen humoru wodewil „Trójka hultajska" czyli „Gałganduch". Treść sztuczki niewymyślna — po prostu dola i niedola, „na wozie i pod wozem" trzech wagabundów, których fortuna obdarza główną wygraną na loterii, którzy stają się ludźmi bogatymi, lecz nie na długo, bo. wszystko „diabli wzięli". Złoty czas życia w przepychach minął naszym bohaterom jak z bicza trzasnął a zostają



Na lewo: Trójka hultajska czyli M. Borowy, J. Pichelski i J. Orwid.



Na prawo: Efektowna scena baletowa z „Trójki hultajskiej" w teatrze „Jar" w Warszawie

Fot: Braun 2

im tylko ich narzędzia pracy: igła, hebelek i kopyto. Wyruszają więc na włóczęgę by żyć tylko dniem dzisiejszym, często i gęsto topić swe smutki w kieliszku.

Publiczność na spektaklu bawi się doskonale — nic dziwnego, gdy gra dwójka tak wspaniałych komików jak M. Borowy i J. Orwid. Ten pierwszy, jak zwykle, robi na scenie wiele hałasu, rzuca się i skacze, ale jest to jego genre, którym rozśmieszyć musi każdego. J. Orwid jest niezrównanym mistrzem w swoich monologach i mimicznych scenach pijackich, a trzeci z trójcy hultajów, J. Pichelski, podbija jak zwykle serca piękniejszej połowy swoją urodą. H. Grossówna, po dłuższej przerwie przypomniała się publiczności teatralnej jako urocza Marion. Kapitalny był T. Chmielewski. Pozostali, a więc: J. Kempa, K. Związek, W. Gliński i J. Kalinowski zagrali wyśmienicie.

Prawdziwe słowa uznania należą się baletmistrzowi E. Paplińskiemu za ciekawe układy tańców, a baletowi w składzie: Kleszczówna, Kołpikówna, Marynowska, Biedrzycka, Puchalska, Zarzycka, Woliński, Kudła, Cywiński i Płachecki — za piękne ich wykonanie.

Reżyserował St. Daniłłowicz, dekoracje Galewskich, orkiestra pod dyr. St. Nawrota.

W ubiegłą niedzielę odbył się w kabarecie artystycznym „Na Estradzie", wielki poranek, w którym udział wzięło 25 aktorów, śpiewaków i tancerzy warszawskich. Wymienimy ich według alfabetu: H. Górzyńska, I. Dalska, J. Książczakówna, L. Leńska, W. Morawska, A. Skubniewska, B. Zarzycka, K. Hanusz, A. Iżykowski, St. Jaszkowski, Wł. Kaniowski, J. Komorowski, K. Ostrowski, T. Woliński, W. Zdzitowiecki, M. Żmuda i inni. Akompaniowali: Z. Hammer i E. Miller. Licznie zebrana publiczność przyjmowała wykonawców hucznymi brawami.

**Zygmunt Bakula**

# KĄCIK SZACHOWY NR 15

## CZĘŚĆ ELEMENTARNA

### 1. Obrona Damiana

Schemat

Ruchy zasadnicze: 1. e2—e4 e7—e5
2. Sg1—f3 f7—f6?
Wariant I: 3. Gf1—c4
Wariant II: 3. Sf3×e5 rozpada się na obronę A i B.
Obrona A : 3 . . . Hd8—e7
Obrona B : 3 . . . f6×e5

### Wariant I.

| | |
|---|---|
| 1. e2—e4 e7—e5 | 10. d2—d3 Sg8—e7 |
| 2. Sg1—f3 f7—f6? | 11. Sc3—e2 0—0 |
| 3. Gf1—c4 b7—b5 1) | 12. Se2—g3 Sd7—c5 |
| 4. Gc4×b5 2) Gc8—b7 | 13. Gc1—e3 Sc5—e6 |
| 5. Sb1—c3 3) c7—c6 | 14. c2—c4 5) d5—d4 |
| 6. Gb5—c4 d7—d5 | 15. Ge3—d2 Se7—g6 |
| 7. e4×d5 4) c6×d5 | 16. Sg3—e4 Gd6—c7 |
| 8. Gc4—b5+ Sb8—d7 | 17. c4—c5 Gb7—d5 |
| 9. 0—0 Gf8—d6 | 18. Hd1—a4 Wa8—b8! |

Dr R. Münz — J. Krejcik, Wiedeń 1911

Gra białych była w tej partii słabą i zasługuje raczej na uwagę gra, przytoczona w komentarzu (2).

W ogóle ruch 3. Gf1—c4 jest co prawda bardzo dobrym, lecz mniej przejrzystym, niż 3. Sf3×e5 i z tego powodu nie poleca się go początkującym do gry, tylko raczej do przestudiowania z graczem stojącym już na wysokim poziomie.

Ponieważ w praktyce turniejowej znaną jest nam tylko ta jedna partia, dlatego przytaczamy ją z zastrzeżeniem poprawności gry białych jedynie tak, jak w komentarzu (2).

1) Ruch wynaleziony przez Krejcika.

2) Po tym ruchu uzyskują czarne silne centrum. **Najlepiej było grać: 4—G—b3 G—b7 5. S—c3 poczym a4.**

Ciekawą jest też gra: 4. G×g8 W×g8 5. S×e5 f×e5? 6. H—h5+ g6 7. H×e5+ H—e7 8. H—d5!

Ostatni wariant da się poprawić dla czarnych, a to 4. G×g8 W×g8 5. S×e5 H—e7! 6. S—f3 H×e4+

3) Zasługiwało na uwagę 5. d4.

4) Lepszym było 7. G—b3. Bicie na d5 uwalnia gońca b7.

5) Czarne grożą uzyskaniem pozycji przeważającej po f5, z tego względu szukają białe kontrszansy na skrzydle H.

6) Ze względu na G—c4, jednak prostszym było grać 17 . . . G×e4, poczym 18 . . . S×c5.

### Wariant II, obrona A:

| | |
|---|---|
| 1. e2—e4 e7—e5 | 7. Gf1—e2 Gc8—f5+ |
| 2. Sg1—f3 f7—f6? 1) | 8. 0—0 7) He×c2 |
| 3. Sf3×e5! 2) Hd8—e7 3) | 9. Hd1—e1 Gf8—e7 |
| 4. Se5—f3 4) d7—d5 5) | 10. Sb1—c3 Sb8—c6 |
| 5. d2—d3 d5×e4 | 11. Ge2—b5 0—0—0 |
| 6. d3×e4 He7×e4 6) | 12. He1—e3+ |

1) Wadliwa obrona piona, jak to widać na pierwszy rzut oka.

2) Poprawna ofiara, która jest korzystną dla białych.

3) Jest to lepsza obrona czarnych, niż 3 . . . f×e5 (obrona B), którą omówimy później.

4) Przestrzega się początkujących przed ruchem 4. H—h5+?, który jest błędnym, gdyż czarne grają g6 5. S×g6 H×e4+ i czarne wygrywają, gdyż zdobywają w następnym ruchu skoczka (H×g6).

5) Gorszym byłoby 4 . . . H×e4+ 5. G—e2 poczym 0—0 i W—e1 i białe uzyskałyby świetny rozwój i grę.

6) Lub 7 . . . G—e6 8. 0—0 Sb—d7 9. S—d4 0—0—0- 10. G—f3 H—e5 11. W—e1 z przewagą białych (Białe zdobywają gońca he6).

Lub 7... S—c6 8. 0—0 G— d7 9. S—c3 H—g6 (teraz ginie hetman) 10. S—e5! S×e5 11. G—h5 0—0—0 12. G×g6 h×g6 13. H—e2 (nieco lepszym było H—e1) G—d6 14. G—f4! Schiffers—Czigorin (z pojed. 1897). Schiffers zagrał w 14 ruchu inaczej, lecz mógł utrzymać przewagę grając 14. G—f4!

Lub 7 . . . S—c6 8. 0—0 G—d7 9. S—c3 H—e7 10. S—d5, poczym 11. G—f4 jeśli 10 . . . H—d8 lub 10 . . . H—d6.

Gdyby zaś 7 . . . S—c6 8. 0—0 G—d7 9. S—c3 H—e6 to 10. S—d4 S×d4 11. H×d4 i czarne nie mogą roszować.

**Białe zawsze mają lepszą grę w przytoczonych odgałęzieniach.**

### Wariant II, obrona B, kontynuowanie 1.

| | |
|---|---|
| 1. e2—e4 e7—e5 | 7. He5—f5+ Kg7—h6 |
| 2. Sg1—f3 f7—f6? | 8. d2—d4+ g7—g5 |
| 3. Sf3×e5! f6×e5 1) | 9. h2—h4 Kh6—g7 |
| 4. Hd1—h5+ Ke8—e7 2) | 10. Hf5—f7+ Kg7—h6 |
| 5. Hh5×e5+ Ke7—f7 3) | 11. h4×g5 mat. |
| 6. Gf1—c4+ Kf7—g6 4) | |

1) Jest to błędna obrona.

2) Jest to kontynuowanie 1). Kontynuowanie 2), które omówimy potem zaczyna się od 4 . . . g6.

3) Czarne nie mają innego ruchu królem.

4) Inne odgałęzienia: 6 . . . d5 7. G×d5+ K—g6 8. h4 h6 9. G×b7 G—d6 (jeśli czarne grają 10 . . . G×b7 wówczas 11. H—f5 mat). 1 . H—a5 S—c6 11. G×c6 W—b8 czarne muszą przegrać, gdyż straciły 4 piony.

Inne odgałęzienie: 6 . . . d5 7. G×d5+ K—g6 8. h4 G—d6 9. h5+ K—h6 10. d4+ g5 11. h×g6+ e. p. K×g6 12. H—h5+ K—g7 lub —f6 13. H—f7 mat.

### Wariant II, obrona B, kontynuowanie 2.

| | |
|---|---|
| 1. e2—e4 e7—e5 | 10. h2—h4! Ke8—f7 5) |
| 2. Sg1—f3 f7—f6? | 11. h4—h5 g6×h5 6) |
| 3. Sf3×e5! f6×e5 | 12. Gf1—e2 7) Gf8—g7 8) |
| 4. Hd1—h5+ g7—g6 1) | 13. Ge2×h5+ Sf6×h5 9) |
| 5. Hh5×e5+ 2) Hd8—e7 | 14. Gg5×e7 Gg7×h8 |
| 6. He5×h8 Sg8—f6 3) | 15. Wh1×h5 Gh8×c3 10) |
| 7. d2—d3 d7—d5 4) | 16. b2×c3 Kf7×e7 |
| 8. Gc1—g5 Sb8—d7 | 17. Wh5×h7+ |
| 9. Sb1—c3 c7—c6 | |

1) Jest to kontynuowanie 2 obrony B.

2) Białe zdobywają jakość, tj. W za S. i powinny wygrać przy poprawnej grze, jak to przytaczamy.

3) **6 . . . H×e4+ 7. K—d1! d5** (posunięcie to jest zasadzką ze strony czarnych. Na inne ruchy zdobyłyby białe co najmniej piona h7). **8. G—b5** (w razie 8. H×g8? wymuszają czarne remis 8 . . . G—g4+ 9. f3 G×f3+ 10. g×f3 H×f3+ 11. K—e1 H—e4+ 12. K—f2 d—d4+ 13. K—g2 H—g4+ i wieczny szach).

**8 . . . K—d8 9. W—e1 G—g4 10. f3** z przewagą białych.

4) Lub 7 . . . S—c6 8. G—h6.

5) 10 . . . h5 11. G—h6 poczym G×f8 (jeśli 11 . . . d×e4 to 12. 0—0—0) i białe oswobadzają hetmana.

10 . . . d4 11. S—d1 H—b4+ 12. c3.

10 . . . H—e5 rozbiłoby się o 11. f4. Białe miałyby zawsze lepszą grę.

6) 11 . . . G—g7 12. h×g6+ K×g6 13. H×h7+! S×h7 14. G×e7 itd. z wygraną białych. Jeśli czarne w 13 ruchu bronią się inaczej: 13 . . . K×g5 wówczas 14. H—f5 mat lub: 13 . . . K—f7 to 14. H—h4 z wygraną białych.

Jeśli czarne w 12 ruchu broniłyby się 12 . . . h×g6 wówczas 13. H—h4 z wygraną białych.

Jeśli 12 . . . K—e6 to 13. H×h7 z wygraną.

7) Można też grać 12. W×h5 G—g7 13. W×h7+ (fałszywem byłoby 13. H×h7?? z powodu S—f8!) S×h7 14. H×g7 K×g7 15. G×e7 itd. z wygrana białych.

8) Albo 12 . . . K—g6 13. W×h5 h6 14. G×h6 H—h7 15. G×f8! S×h5 16. G×h5+ H×h5 17. H—g7 mat.

Jeśli czarne bronią się inaczej w przytoczonym odgałęzieniu: 14 . . . S×h5 to 15. G×h5+ K×h5 16. G×f8+

Jeśli czarne bronią się jeszcze inaczej: 13 . . . G—g7 to 14. H×h7+!

Zawsze z przewagą białych.

9) 13 . . . K—e6 14. H×h7 S×h7 15. G—g4+! K—f7 16. G×e7 K×e7 17. W×h7.

10) 15 . . . K×e7 16. W×h7 czarne tracą figurę.

## CZĘŚĆ OGÓLNA

### Partia Nr 19

Białe: Dr L. Rodl — Czarne: A. Kramer
grana w turn. w Duisburgu w r. 1930.
Obrona Caro-Kann.

| | |
|---|---|
| 1. e2—e4 c7—c6 | 7. Gc1—e3! Hd4—e5? |
| 2. Sb1—c3 d7—d5 | 8. 0—0—0 Sg8—f6 |
| 3. Sg1—f3 Gc8—g4 | 9. Se4—g5 Sb8—d7 |
| 4. d2—d4 d5×e4 | 10. Gf1—c4 e7—e6 |
| 5. Sc3×e4 Gg4×f3 | 11. Wd1×d7! Gf8—a3 |
| 6. Hd1×f3 Hd8×d4 | 12. Wd7×b7 Czarne poddały się. |

1) 7 . . . H—d8!

Profesor na krótko przed swym ślubem wyjeżdża z odczytami. Zdenerwowany i roztargniony przygotowaniami podróżnymi, wysyła w ostatniej minucie telegram do swej narzeczonej: „Nie brać ślubu, aż przybędę".

*

Z dziennika podróży: „Doszliśmy do tak rzadkiego lasu, że nie było ani jednego drzewa."

*

— Jeżeli pani odpowie „tak" na mą propozycję, to wygrałem wielki los.

— Będzie na odwrót. Jeżeli pan wygra wielki los, to odpowiem „tak".

*

— Dzieci pani są nieco za żywe. Mąż pani jest przecież literatem, czy on może pracować w takim hałasie?

— Zwykle jest to rzeczą trudną, ale obecnie pisze on przecież powieść wojenną.

*

— Dlaczego obcina się sardynkom głowy?

— Bo inaczej nie zmieściłyby się do puszki.



*NA PLAŻY*

*— Ciała mego nie dotknął jeszcze żaden mężczyzna!*

*— Jakto!? Ty nigdy nie jeździsz tramwajem?!*

Rys. Empp.

## ŚWIAT SIĘ

Wieśniak: — Przychodzę tu już po raz czwarty z interesem do pana mecenasa a nigdy go nie mogę zastać w domu... Ja przecież nie mogę tak daremnie jeździć tyle razy!

Sekretarka: — Któż mówi, że daremnie? Pan adwokat wam za każdy raz policzy w rachunku.

*

— Widzisz tego starszego jegomościa?

— Albo co? Cóż to za numer?

— O to bardzo sławna figura.

— Dlaczego?

— To jest widzisz, kuzyn siostry brata wnuczki pewnej 100-letniej staruszki, która umierając pamiętała jeszcze księcia Józefa Poniatowskiego.

*

Dwóch podróżnych jadąc w przedziale kolejowym zabawia się rozmową.

— Raz jako młody człowiek — mówi jeden z nich — wyciągnąłem młodą dziewczynę z wody, która bez mej pomocy byłaby na pewno utonęła.

— Bardzo ciekawe przeżycie — odzywa się drugi — i oczywiście jak to bywa w powieściach, zapewne ożenił się pan z nią.

— To prawda — westchnął pierwszy z podróżnych — ale moim synom nie pozwoliłem uczyć się pływać.

*

Pan Ignacy strasznie ziewa. Widzi to jego żona.

— Ach, jak to dobrze — mówi — masz właśnie usta otwarte, zawołaj więc naszego Karolka.

*

— Tu są proszki nasenne proszę pani. Wystarczą one na sześć tygodni.

— Dziękuję, panie doktorze, ale właściwie tak długo nie chciałabym spać.

*

Pan Alojzy zwrócił się do urzędu mieszkaniowego celem zgłoszenia zmiany miejsca zamieszkania.

— Przeprowadziłem się z ulicy Lubicz na ulicę Kochacz nr. 4.

— A pańskie nazwisko i data urodzenia? — zapytuje urzędnik.

— Pozostały niezmienione — odpowiada pan Alojzy.

*

Od pewnego czasu spotykałem Jana znowu samego.

— Cóż to, zerwałeś z Irką?

— Nie jestem alpinistą, żebym codziennie wychodził na 6-te piętro.

*

— Dopiero w ostatnich miesiącach tak posiwiałem.

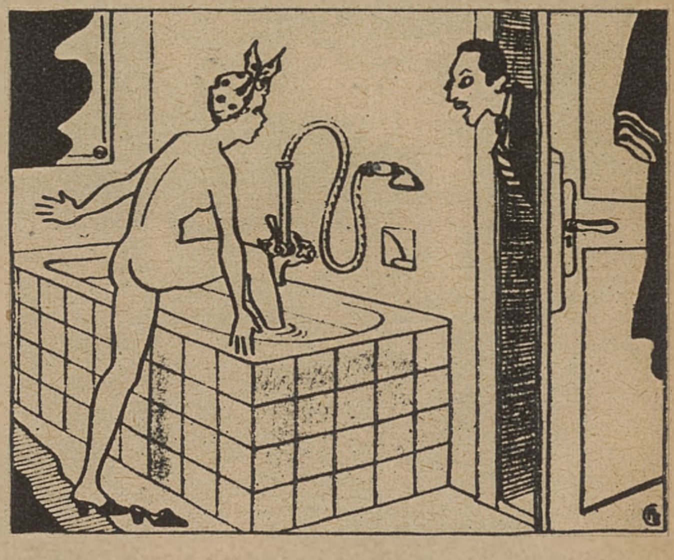
— To zapewne troski w ostatnich czasach przyczyniły się do tego.

— Niestety tak, nie mogę sobie nawet pozwolić na kupno środka do farbowania włosów.

*

— Przede wszystkim zaordynowałbym panu dużo świeżego powietrza — mówi lekarz — czym pan jest?

— Lotnikiem.



*— Dlaczego pan tak wytrzeszczył oczy? Czy pan naprawdę nigdy jeszcze nie widział wanny do kąpieli?*

Rys. Appelt.



*— Czy mogę mówić z właścicielką domu?*

*— Tak! Właśnie ja nią jestem!*

*— Hm, hm, to lepiej ja kiedyindziej przyjdę w tej sprawie...*

Das Illustrierte Blatt

## ŚMIEJE

### FRASZKA

*Z ciebie nic nie będzie*
*Nie ma na cię kary*
*Z czego się utrzymasz*
*Gdy już będziesz stary?*
*Nie ma w tobie za grosz*
*Zdolności mego fachu*
*Nie potrafisz dla siebie*
*Nad głowę zdobyć dachu.*
*Chcę cię wykierować*
*Byś stał wyżej gminu*
*Byś wyszedł człowiekiem*
*Z mojego terminu.*
*Tak strofował syna*
*Bijąc go rajpaczem*
*Oburzony ojciec*
*Co był włamywaczem.*

M. Quarta



MIĘDZY SARENKAMI

*Dla mnie jest obojętne, który z nich zwycięży, gdyż obaj nie są w moim typie.*

Berliner Illustrierte Zeitung

# Interview

Każdy z nas niewątpliwie zna owo milczenie, kiedy — od drzwi do drzwi idąc w korytarzu dalekobieżnego pociągu pospiesznego — pytamy nocą o wolne miejsce.

Ja to znam! I nieraz już życzyłem sobie bym w takich wypadkach był młodą i czarującą dziewczyną. Ale nie uprzedzajmy wypadków.

Również i ja miałem szczęście w takiej sytuacji zająć jeszcze bardzo wygodne miejsce w kąciku obok drzwi. Tak, tak, coś takiego czasem się zdarza.

Owinąłem się w płaszcz i chciałem uciąć spóźnioną drzemkę. Wtem — czy dobrze słyszę? — cichutko otwarły się drzwi i zjawisko jak w filmie. Czyżby Marika Rökk? Nie — to przecież niemożliwe, a jednak. Dwa, trzy słowa padły od drzwi, — i nagle sen mnie odleciał.

Oczywiście zdziwiony zobaczyłem, że jedno miejsce obok mnie było jeszcze wolne.

— Proszę bardzo! — Jest tutaj jeszcze miejsce! Nie przypominam sobie kiedy tak szybko odpowiedziałem na pytanie; — ale tu chciałem wyprzedzić konkurencję, która poruszyła się naprzeciw, by również być uprzejmą wobec pięknej nieznajomej.

A więc Marika Rökk? Nie. Jak się okazało to tylko głos był łudząco podobny do znanej węgierskiej gwiazdy filmowej.

Siedziała już obok mnie. Oczywiście spać mi się odechciało. Mój instynkt reporterski był mocno poruszony; postanowiłem więc za wszelką cenę poznać właścicielkę owego głosu. W bladym świetle lamp dworca, obok którego przejeżdżaliśmy, mogłem ukradkiem zauważyć delikatny i regularny jej profil, który jeszcze bardziej pobudził moją ciekawość. Szybko znalazłem pytanie do nawiązania rozmowy, a ponieważ oboje nie zdradzaliśmy ochoty do spania, więc wkrótce wywiązała się między nami ożywiona pogwarka.

Że ta urocza kobieta była artystką — nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Co do tego, to ja mam zawsze nosa! Tylko nie było mi jeszcze wiadomym, czy jest ona śpiewaczką czy tancerką. Najbardziej charakterystycznym dla tej czarującej kobiety, obok jej głosu, było duże podobieństwo do Olgi Czechowej. Tak chyba musiała wyglądać ta wielka artystka w 19 roku życia. Największa niespodzianka jednak dopiero mnie czekała. Mianowicie: ta — jak sądziłem — Węgierka — była Holenderką. Wyjaśnienie to zadało memu pojęciu o znajomości ludzi dotkliwy cios. Od kilku godzin siedzi moja czarująca sąsiadka na moim wygodnym miejscu w kąciku; rozmowa nasza nabiera cech serdecznych i przyjacielskich zwierzeń, przy czym dochodzę do przekonania, że kobieta ta będzie bardzo interesującym modelem dla mego aparatu fotograficznego i ciekawym tematem dla reportażu. — Wszystko to stało się dla mnie niespodziewanym przeżyciem, gdyż poznanie Adriany Roelofs — te Heer, należy zawsze do prawdziwych przeżyć.

Owo chętne zaofiarowanie miejsca nieznajomej kobiecie, i mnie przyniosło raz szczęście.



Na lewo:
Tak wyglądała Adriana Roelofs — te Heer gdy ją poznałem w wagonie kolejowym



Poniżej:
Moja wizyta w garderobie artystki.



Na prawo:
Dyskretne spojrzenie do garderoby artystki.





Na lewo:
Studium portretowe czarującej artystki dokonane w czasie porannej gimnastyki.

Fot. Eurofot



Poniżej:
Przy porannym treningu.

Na lewo:
A wieczorem ogromna przemiana: Adrianna Roelofs — te Heer w roli Franciszka w pięknej pantominie baletowej „Copellia" Leona Delibesa.